

Zofia Wińcza

ul. Suraska 4 m 17

БІАЛЫСТOK



Pochodzę ze złej rodziny, bo z ziemiańskiej rodziny.

Przed wojną skończyłam seminarium nauczycielskie w Wilnie. Ale że to był akurat taki okres, w którym było bardzo trudno dostać posadę, inspektor posłał mnie bardzo daleko, do miejscowości Wojciechy. I tam w szkole pracowałam.

Inspektor postawił mi taki warunek: jeśli pani przepracuje tam przez rok, to przeniosę panią do Czuczelic. Będzie miała pani szkołę bardzo blisko. Będzie mogła pani pracować i być w domu.

Zgodziłam się na to i pojechałam. To był okropny, zapadły kąt. Dojazd był straszny. Dojeżdżało się do Woropajewa w powiecie postawskim. Od Wilna było tam ze dwieście kilometrów. Ale to było tam, "gdzie diabeł mówi dobranoc". Okropnie zapadła wioska. Za to były wspaniałe dzieci. Była to szkoła dwuklasówka. Ale dzieci były wspaniałe i bardzo chętnie się uczyły.

I ja tym rzeczywiście rok przesiedziałam. Po roku, zgodnie z naszą umową inspektor przeniósł mnie do Czuczelic. Pracowałam w szkole w Białowszczyźnie w jednoklasówce położonej od domu o dwa kilometry. Ponieważ to była bardzo liczna szkoła, bo uczęszczało do niej sto dwadzieścioro dzieci, została podzielona i moja część do drugiej wsi była przeniesiona. Ta wieś nazywała się Rybki. Teraz do szkoły z domu miałam kilometr. Było to bliźniutko, niemal że widziałam swoją szkołę.

I tu uczyłam do końca, do wywiezienia mnie, do czasu istnienia polskiej szkoły. W tym czasie mój mąż już był sędzią w Święcianach. Tak więc ja byłam jedną nogą w Święcianach, a drugą w Czuczelicach, gdzie uczyłam.

Siedemnastego września, jak Sowieci przekroczyli nasze granice, to my wyjechaliśmy z Czuczelic - majątku moich rodziców. Wyjechaliśmy właśnie do Święcian tam, gdzie mąż pracował. Ale po jakimś cza-

I/870

sie ja z ojcem wróciłam. I tu ojca aresztowano. Akurat pojechałam do Świącian, do męża i już w drodze dowiedziałam się, że ojciec został aresztowany. Dowiedziałam się też, że aresztowano wszystkich okolicznych ziemian. Mówiono, że wszystkich aresztowanych wywieziono do Postaw, do powiatu. Wiadomo też było, że trzeba im podać jedzenie, że władze na to zezwalają.

Zależało mi na tym, żeby dzieci uczyły się. Poradzono mi więc, żeby do domu dworskiego moich rodziców przenieść szkołę. Motywowano to tym, że tu będzie lepiej niż na wsi, że tu będzie lepsze pomieszczenie /większe/ i że mnie będzie wygodniej i bezpieczniej. Ale ja ciągle chciałam dowiedzieć się, co jest z moim ojcem. Często z tego powodu podróżowałam między Czuczelicami a Postawami. A w takich razach w szkole uczył mój uczeń, który wcześniej skończył tę jednoklasówkę. Jurek Rybko nazywał się. Był wspaniałym chłopakiem, zdolnym. Dziś to na pewno poszedłby uczyć się. Ale w tamtych czasach to nie było możliwości. No i chłopak się zmarnował. Pracował na roli. Ale w tych czasach on mnie zastępował i on uczył dzieci.

Bo mnie na tym zależało. Zresztą ja potrzebowałam pieniędzy. Zależało mi na tym, abym mogła brać pensję. A inspektor, gdy ja zjawiałam się w Postawach, pytał mnie: czy szkoła jest czynna czy nie? Odpowiadałam zgodnie z prawdą, że szkoła jest nadal czynna, jak najbardziej czynna.

Ale już na wsi było nieciekawie. Wsie okoliczne nadal życzliwie były ustosunkowane. Nawet bardzo życzliwie: dowiadywali się i pomagali. Ale z dalszych wsi przychodzili mieszkańcy, rabowali i napadali. Tak, że ja w domu nie mogłam mieć nic z rzeczy wartościowych, gdyż wszystko zabierali. Zabierali wszystko, nawet meble wywozili. Wpadały jakieś straszne baby i nawet firanki z okien zdzierały. To była okropna zima.

I wówczas otrzymałam pierwszy sygnał ostrzegawczy. Ktoś ze wsi

dał znać:proszę panią,proszę mieć trochę rzeczy przy sobie,bo w Postawach stoją wagony i mają wywozić.

no i rzeczywiście:trzynastego kwietnia 1940-go roku,akurat na tle wschodzącego dnia widzę "opiekuna":zbierajcie się z wieszczami. A w drugim pokoju siedział żołnierz.Właśnie jego spytałam się:a dokąd nas wiozą?Weźcie z sobą ciepłe ubrania i dużo jedzenia.

Powieźli nas i załadowali w Postawach do wagonów.Tu nas zaplombowali.nie potrafię dzisiaj powiedzieć,ile osób było w naszym wagonie.Ale było tak,że jeden obok drugiego.

W sąsiedztwie moich rodziców był majątek Dobrzyłitek.Właściciel tego majątku źle gospodarzył.Tam była wielka bieda.Tam nie było gdzie mieszkać.W pewnym czasie w odwiedziny z Wilna przyjechała rodzina właściciela majątku.Właściciel nazywał się Dowojno.I małe tam były dzieci.Ponieważ u nas dom stał w znacznej części pusty,szkoła wszystkiego nie zajmuje,wzieliśmy tę rodzinę z tymi dziećmi do siebie.Wtedy najstarszy chłopczyk kończył chyba drugą klasę.Obecnie jest profesorem na Wybrzeżu,w Gdańsku.I tam jeszcze małe dzieci były jeszcze.Między innymi była córka tego sąsiada,pana Dowojno,z małym dzieckiem.Nazywała się Jabłońska.Jak dziś pamiętam,kiedy do mnie jeszcze wcześniej zwracała się:proszę panią proszę potrzymać Mareczka,ja chcę odrysować jego nóżkę i posłać do Starobielska do męża.Bo on tam pisywał skądś.Ale po przyjeździe jego do Starobielska już ona odpowiedzi od niego nie dostała.Teraz już wiemy,dlaczego tak było.

A ta pani,jej matka,Dowojno,została w tym majątku.Ten majątek był wyjątkowo zaniedbany.On wyraźnie nie dawał sobie rady.Sufit był podparty.I ona tam została.I tę panią Dowojną załadowano razem z nami do wagonu.Tak, że ta pani Dowojno ze mną jechała i przez dłuższy czas była nawet na moim utrzymaniu,bo jak ja szłam do pracy,to mnie zależało na tym,żeby mama moja nie zostawała sama.A mnie z mamą wy-



wieziono. Zależało mi na tym, żeby mama sama nie zostawała. Więc ta pani Dowojno była na moim utrzymaniu.

Wyładowali nas w Pawłodarze. Następnie wieźli nas barkami. Potem odbył się handel żywym towarem: klasyfikowano nas - gdzie nie ma dzieci, gdzie jest siła robocza. Tak nas wybierali kołchoźnicy. Ja trafiłam do kołchozu. Ten kołchoz nazywał się Paramonowka. Tu wpakowali nas do świetlicy pięć rodzin. Ja z mamą, pani Dowojno, jakaś z Głębokiego spod Wilna rodzina żydowska, potem jakaś rodzina z trojgiem dzieci. Tu też ciasnota była straszna. Warunki okropne. No, ale szło pod lato.

Trzeba przyznać, że ludzie w tym kołchozie byli nam życzliwi. Predsiedateli kołchozu był dla nas bardzo życzliwy.

Ja w tym kołchozie wszystko robiłam. Nie było takiej pracy, której ja tam na Syberii nie robiłam. Budowałam domy, za kombajnem jeździłam, przy kombajnie pracowałam, przy kosiarce pracowałam, na sianokosach pracowałam, ubikacje czyściłam. Wszystko, robiłam co się dało. No, ale głód był. Więc na przykład za wyczyszczenie ubikacji - bo kołchoz nie miał prawa zatrudniać ludzi najemnych - no to co mnie dacie za to, jak ja wyczyszczę? - Trzy dni wolne. A no dobrze, trzy dni wolne. W tym czasie do Irtysza można pójść i uprać. Ale czym uprać? A w Irtyszu można uprać, bo na brzegu jest taka biała glina, która zastępowała mydło. I to mi zostało. Ja jeszcze dziś kupuję kawałek mydła i kładę na to miejsce. Bo pamiętam, przez tyle lat, nie po to, żeby ręce umyć.

Pamiętam, że tam zajechaliliśmy na pierwszego maja. Pamiętam, że nas zaproszono na pierwszego maja /kołchoźnicy zaprosili/, poczęstowali kumysem. Był obrzydliwy, ale trzeba było pić, bo oni to uważaliby za obrazę. Ale potem wyszło rozporządzenie, że nie może być praca niezapłacona. Natomiast kołchoz nie może mieć najemnego robotnika, to nas przerwucili do sowchozu. Sowchoz Pawłodarski był. Od tej Paramonowki

było trzy kilometry. W sowchozie też wszystko robiłam. Krowy pasłam, krowy doikam. Ale wyrzucili mnie, bo ja nie mogłam nauczyć się doić krów. I dlatego mnie wypędzili. Posłali cieleta paść. Cieleta pasłam w stepie. Ponadto i za kombajnem pracowałam, tu też nie dawałam sobie zupełnie rady. Tu trzeba było odrzucać słomę i ja zupełnie nie nadażałam. I dlatego krzyczeli: o, widać, że wińcza tam pracuje, nie daje rady, bo kombajn musi się podsuwać.

W kolchozie byłam aż do amnestii Sikorskiego. Dotychczas nie pozwalali nam ruszać się. Teraz ten zakaz cofnięto. Wówczas ja zaczęłam starać się, żeby dostać się do samego Pawłodaru. Zawsze liczyłam na to, że w mieście jakoś będzie lżej. Do Pawłodaru z tego sowchozu trzeba było promem przejeżdżać. Też były tutaj ogromne trudności, bo na promie była ograniczona ilość osób. Trzeba było płacić, żeby dostać się na ten prom. Ale jakoś miałam szczęście do ludzi. I przewieźli nas tym promem. I ja do Pawłodaru dostałam się.

W Pawłodarze gdzie pracowałam? Najpierw pracowałam w zakładach mięsnych. Bardzo dobrze było. Tu było świetnie. To był raj, bo można było najeść się. Luksus. No, ale w domu pozostawała głodna mama. Trzeba mamie przynieść kawałeczek chociaż tej kiełbasy. No to tam szwarcowało się, przenosiło się. Jak przenosiło się? Na szyi. Taka głupia byłam. Do podobno oni pierwszą rzecz jak sprawdzali, to właśnie na szyi, czy tam właśnie kiełbasy nie ma. Ale mnie jakoś udawało się. Ale było na przykład tak: jeść można było ile chcesz, w rzeźni. Ale nie wolno było, żeby ugotować sobie mięsa. No i oczywiście nie wolno było wynieść.

Ale my gotowaliśmy. A Rosjanki, które ze mną pracowały wiedziały, że jestem nauczycielką i dlatego mnie szanowały. Mówiła: wy gotujcie, może na was nie będą krzyczeć. No i kiedyś wpada taki Kazach, brygadzysta czy ktoś taki, wacha: coś tu pachnie. Ja odpowiedziałam: poczekajcie, zaraz będzie gotowe. Pewnie wieprzowe gotujecie. A oni nie jed-

li wieprzowiny. Ja mówię: nie, baran. A kto gotuje? Ja mówię: ja gotuję. A czemu? Bo głodna jestem. Nóż i ten garnek wyciągnęłam spod jakiegoś kotła. On łapa, ja łapa. I razem jedliśmy.

Miejscowi byli życzliwi dla nas. Ale potem było tak zwana "sakrazenie sztat", to po polsku redukcja. Kogo zwolnić? Przede wszystkim Polaków.

Wówczas poszłam pracować do takich "Ignatek". Podjęłam pracę w miejskich ogrodach. Tam też było o tyle nieźle, że w takim ogrodzie to jakiś pomidor można było zjeść, czy ogórek. Były tam tak zwane cieplarnie czyli szklarnie. Brygadzystą był taki staruszek "dziecuszka". On mnie bardzo lubił.

I taki był wypadek: trzeba było w nocy dyżurować, bo wtedy dostawało się wolny dzień za dyżur. A w nocy trzeba było palić w szklarni. A czym się paliło? Mokrym drzewem, łożą z nad Irtysza. I ja kiedyś paliłam w czasie dyżuru i nagle poczułam, że jest dym, że ja oczadziałam. Wiedziałam, że trzeba wyjść. W jaki sposób ja ocalałam? Z tej szklarni był taki korytarzyk z tej szklarni, z którego prowadziły drzwi na zewnątrz. Ja jakoś ruszyłam się z miejsca, ale nie dałam rady wyjść. Bo już sama oczadziałam. Upadłam, ale tak szczęśliwie, że twarzą przy szparze, która była w drzwiach, przez którą dochodziło powietrze. I to mnie uratowało.

Kiedy rano przyszedli pracownicy i otworzyli drzwi, to mnie wyciągnęli zupełnie nieprzytomną, bo ja byłam oczadziała. Ale tam mimo tego było nieźle pracować. A potem były takie różne wypadki w nocy. Dlaczego ja dzisiaj chodzę z kijem? To właśnie tam, pracując w ogrodach zerwałam sobie ścięgno. Bo tam trzeba było dwieście wiader wody wynieść z odnogi Irtyszu wynieść na górę do tej szklarni, żeby polewać. I tak dwieście wiader. Wnosząc je na górę ja jakoś tak tą nogą podpierałam się. I dlatego w tej nodze mam zerwane ścięgno. I dlatego chodzę o lasce: nie tylko te starości, ale jeszcze przyłą-



czył się reumatyzm.

Straszny też był okres, kiedy nas ganiano na "śniegozadzierżanie". Nie pamiętam, kiedy to dokładnie było, ale chyba wtedy, gdy ja właśnie pracowałam w ogrodach. Dali nam działki, ale o osiem kilometrów od Pawłodara. Powstał problem: jak te działki zagospodarować? Pamiętam, że coś takiego mi w paczce przysłali, jakieś pantofle. Były to chyba moje ślubne pantofle, które ja za wiadro kartofli sprzedałam. No, ale trzeba te osiem kilometrów zanieść te kartofle i tam je posadzić. A potem przynieść to, co zebrało się. I oczywiście trzeba tam chodzić i doglądać to wszystko.

I w międzyczasie nas, w zimie, już nie potrafię powiedzieć, jak ja długo pracowałam na tym podsobnym chazajstwie, ale był w każdym razie taki okres, kiedy nas ganiłi na tak zwane "śniegozadzierżanie". Trzeba było iść w step - oczywiście bez żadnego porządnego ubrania - w gumowych buciczkach. Trzeba było robić takie zapory ze śniegu. Celem tych zabiegów było dążenie do utrzymania w stepie wilgoci. Żeby potem w stepie lepiej trawa rosła i oni potem częściowo uprawiali ten step. Najważniejsze: żeby wilgoć zatrzymać. To śniegozadzierżanie to było coś strasznego. Był straszny chłód. Bo tam, na śniegozadzierżaniu to człowiek skakał jak wróbel na nitce, bo zimno nogi, zimno w ręce i samemu zimno. To był okropnie ciężki okres. Ale jakoś to zniosłam.

Potem ja trafiłam do szkoły polskiej. Jakiś czas pracowałam w szkole. Było to za czasów Sikorskiego. Była szkoła polska, w której dzieci uczyły się. Książek nie było, zeszytów nie było. Ale dziś trudno sobie nawet wyobrazić sobie, jak te dzieciśka uczyły się. Jaka to była satysfakcja uczyć te dzieci. To po prostu z rozrzewnieniem człowiek wspomina te czasy, jakie to chłonne było.

Potem był taki okres, że zamknęli tę szkołę. Potem była szkoła z ramienia Związku Patriotów Polskich. Nas tam zatrudnili. Warunki

wtedy były już lepsze, bo my byliśmy <sup>na</sup> stażu nauczycieli sowieckich. Więc nam już jakiś "pajok" dawali i już lepiej było. Ale i to potem zamknęli. I my uprawialiśmy tajne nauczanie. Chodziliśmy po chatach. I tu straszny nieraz obraz był. Przychodziło się: biedne, głodne, na wpół ubrane, na jakiejś wiązce słomy. A dzieci chciały naprawdę uczyć się. Jak się nie przyszło, to dzieci zalewały się łzami. Tak chciały się te dzieci uczyć. To była prawdziwa satysfakcja - uczyć te dzieci.

Tu chcę dodać, że urzędowo nie zaliczono nam tego tajnego nauczania. Nasze władze tego nie zaliczyły. Uznały, że to żadne tajne nauczanie. A nam po piętach już zaczęło chodzić NKWD, że my chodzimy po domach i uczymy. Już wtedy byliśmy bardzo narażeni na wszelkie represje.

Po~~tem~~ mnie wysłali aż pod Mongolię. W tym czasie była repatriacja i mnie posłano jako przedstawiciela repatriacji ludności polskiej do Polski. Występowałam tam w charakterze tak zwanego męża zaufania. Byłam aż pod samą Mongolią. Tam była taka miejscowość "Majkai<sup>n</sup> Zołoto". Tam było wywiezionych pięć tysięcy Polaków. Do repatriacji stanęło pięćset osób. A reszta to było jedno wielkie cmentarzysko. Bo tam nie było żadnego połączenia jak tylko ciężarówkami. Jak wojna wybuchła - sowiecko-niemiecka - to wszystko poszło na front. Tam głód był. Tam tylu Polaków wtedy zginęło. Z tego "Maikain Zołota" to ja mogłam przywieźć furę złota. Bo tam byli Polacy. Tam była jedna Polka, która wyszła zamąż za Kazacha. Ona przynosiła mi o tyle /dwie garście/ złota, żeby tylko ona mogła jechać do Polski. A nie mogła, bo wyszła zamąż. I dziecko tam już było. Przepadła. A wpychała mi tyle, tyle złota. Proszę, bierz, tylko coś zrób, żebym ja mogła wyjechać do Polski.

Potem była repatriacja. Wróciłam w 1946-tym roku. Wyjechaliśmy z Pawłodaru. Jechaliśmy bardzo długo. Ja wysiadłam w Warszawie. By-



ły pogłoski, że mój brat jest w Białymstoku. Bo on był zmobilizowany w 1939-tym roku i chodziły wieści, że teraz przebywał w Białymstoku. Przyjechał tu z rodziną z Wilna. Z tego powodu zamierzałam wysia- dać w Białymstoku. Ale w ostatniej chwili coś mnie tknęło: nie, jadę do Warszawy. I wysiadłam w Warszawie. A już, jakimś cudem miałam ad- res swojej ciotki, siostry mojej mamy. W każdym razie, kiedy wysiad- łam w Warszawie, to ja szukałam ciotki, gdzie ona mieszka. Tylko nie pamiętam, jak my długo jechaliśmy. W każdym razie jeszcze to zimna- wo było. To chyba był kwiecień, bo ja miałam naszykowaną zmianę bie- lizny i o niczym nie marzyłam, żeby wykąpać się, zmienić bieliznę i położyć się do czystego łóżka.

Bo wracaliśmy w strasznych warunkach: wszy, brud, coś okropnego. Koszmar. Koszmar w porównaniu z tym, czym był wybuch gazu w naszej klatce schodowej. To wszystko było nic. A w Warszawie wtedy była bie- da. Było bardzo trudno. A oni jakoś wiedzieli, że mój brat jest pod Toruniem. Ta miejscowość nazywa się Kowalewo. Bo ja pamiętam, że mu- siałam meldować się w Wąbrzeźnie. Mój pierwszy meldunek był w Wą- brzeźnie.

Jakiś czas byłam u brata. I od brata dowiedziałam się, gdzie siostra jest. Siostra wtedy była w Kłodzku. I ja pojechałam tam, do Kłodzka. I w Kłodzku zaczęłam pracować w szkole, w ćwiczeniówce. Mówiło się, że ćwiczeniówka miała być wprawdzie czynna od jesieni, ale teraz już odbywa się nabór nauczycieli, pensję będą płacić już teraz. I zaangażowano mnie do tej ćwiczeniówki.

Ćwiczeniówka to taka szkoła, w której nauczyciele odbywają prak- tykę. Tam musiałam prowadzić lekcje dla nauczycieli. To było dość uciążliwe i dlatego zaczęłam tak kombinować, żeby jakoś wykręcić się z tej ćwiczeniówki, żeby przenieść się znowu do Wrocławia. To znowu mnie wizytator nie chciał puścić z ćwiczeniówki w Kłodz- ku. Ale sam biedny, nieszczęśliwie zginął, bo jechali Sowieci, on je-

chał motocyklem, Sowieci go zaczepili i zabili. I dlatego potem w Kuratorium mówili: o, pani wyjechała na śmierci tego wizytatora - nie pamiętam teraz jego nazwiska.

Trafiłam do Wrocławia. I we Wrocławiu pracowałam. W sprawach Syberyjskich mam wyjątkowo dobre papiery. Tak orzekł pan prokurator Monkiewicz, który te papiery oglądał.

W sprawach religijnych: nie było księdza. Nie było religii. Tam budynków kościelnych czy cerkiewnych nie było. Mowy nie ma. Potem był okres taki, że kazali nam brać obywatelstwo. Z tym to było tak: rejon przyjął obywatelstwo bez sprzeciwów. A sam Pawłodar postawił się. No i ja też. No to mnie zamknęli. Był taki moment. Pamiętam, że było to w Wielką Sobotę. Wróciłam z pracy do domu. W domu mój gospodarz miał wykopany dół, do którego ja składałam kartofle. Postanowiliśmy, że się najemy, bo już jutro święta. A tu wieczorem, w Wielką Sobotę rozległo się pukanie do drzwi: zbierajcie się z wieszczami. A ponieważ spodziewałam się, ponieważ naokoło wszyscy byli już pozabierani, miałam naszykowany plecak. I słyszę tylko: "opiat' z mieszkom". No i przyprowadzili mnie do więzienia.

Wepchnęto mnie do ogromnej sali. Na wszystkich łózkach po dwie osoby. To mnie umieścili pod łóżkiem. Ale było bardzo dobrze. Dlaczego? Bo to było tak pod ścianą. Więc ja mogłam tak troszeczkę pod łóżko się wtoczyć. Zupę dawali, chleb dawali. Tylko że okropne było powietrze, bo tak zwana "parasza" stała blisko i to ciągnęło. Ale człowiek odpoczywał jakoś nerwowo.

Władze więzienne pozwoliły mamie przychodzić na widzenie. I właśnie jedna dziewczynka - Hania się nazywała - ona właściwie to była Ukrainka, jej mama powiedziała: niech pani bierze ten dowód i niech pani wraca. No więc ja zgłosiłam się, że ja wezmę ten dowód. Ale tu musiało dojść do sądu.

Jest sąd. Baba sądzi. Kobieta sądzi. Za mną stoi milicjant. Czy dwóch

nawet stało, już nie pamiętam, Ja byłam okropnie zdenerwowana. No i mówią do mnie: "No i co? Nie chcecie wziąć naszego dowodu? To ja na to: "Ja siebie szcitalu izmiennicą Rodiny". /uważam siebie za zdrajczynię ojczyzny/. To nieprawda. A co teraz myślicie? A siejczas ja dożna wziat'wasz proklatyj dowód. Ale trzęsę się cała. Ona momentalnie do milicji: odejść. Grażdanka swobodna.

No i ja wróciłam do domu. I rzeczywiście w ostatniej chwili, bo mama z głodu by zginęła. A tak zawsze człowiek szedł do pracy, coś robił i coś dostawał. To były straszne czasy, jak ja dostawałam na siebie pół kilograma chleba i na mamę trzysta gramów. Zawsze gdzieś pracowałam, ale i jeść się chciało. Kiedy otrzymywałam chleb i niosłam go mamie, to ze wszystkich stron go ogryzłam, nim go doniosłam. Bo człowiek był głodny.

A jakie było życie? Czarna kawa, Robiło się ją w ten sposób, że zbierało się kłosa na polach. Bo u nich to było marnotrawstwo. Jak kombajn szedł, to sypało się zboże i kłosa też się sypały. A oni pozwalali potem kłosa zbierać. No to zbierało się te kłosa, na żarnach mieliło się i robiło się lepioszki. Lepioszki piekło się na płycie. A czarna kawa to było to właśnie, to zboże paliło się. Podprażało się i zaparzało się. I taka to była czarna kawa.

A domy były budowane z tak zwanych "samanów". A samany to były wycinane z darni kawały wielkości naszych pustaków. Te samany suszyło się, a potem układało się jedno na drugie. Dach był płaski. A tynkowało się gliną. Od tego tynkowania do dziś mam pokrzywione palce i ręce. Ale jak deszcz padał, to to wszystko leciało na głowę. Bo dach był płaski, i te samany, woda zatrzymywała się o to wszystko leciało na głowę.

Jak trafiłam do Związku Patriotów? Człowiek nie orientował się, kim są ci patrioci. Ja nie umiałam po rosyjsku czytać, nie umiałam pisać, a potem wszystkie sprawy wszystkim pisałam. Nauczyłam się.



Nie mogę sobie przypomnieć, jak ja trafiłam do tego Związku Patriotów. Potem mnie zrobiono rzecznikiem do spraw repatriacji. To dlatego jeździłam do tego "Majkain zołoto", bo tamten rejon mnie przydzielili. To było po drugiej stronie Irtysza, chyba sześćdziesiąt kilometrów, już nie pamiętam. Jechałam tam ciężarówką, która była wypełniona deskami. I ja siedziałam na samym wierzchołku, po tych wybojach. Że ja nie spadłam, że ja nie zabiłam się, to ja już nie wiem, to już jakaś wyższa siła opiekowała się mną.

Polacy modlili się. Pamiętam też, że przez jakiś czas to nawet ksiądz przyjeżdżał. To chyba było za Sikorskiego.

Tam gdzie ja byłam, w okolicach Pawłodaru, to w większości byli Ukraińcy, kiedyś też tam przesiedleni. Więc oni nas rozumieli. Taki na przykład prezydent kolchozu Paramonowki, gdy kiedyś przy tynkowaniu coś zażartowałam, powiedział "Oj, wincza, ja тебе nakarmлю." A do swojej żony powiedział: smatri, czto by oni gołodny nie byli. To znaczy, że do nas byli dobrze ustosunkowani.

Uderzenie Niemiec na Związek Radziecki w 1941-ym roku ja przyjąłam z wielką radością. Akurat pasłam cielęta. Rzuciłam cielęta i leciałam bo czułam, że to nas wyzwoli i że dzięki temu my pojedziemy do domu. Zostawiłam te cielaki. A przy cielakach dobra była służba, bo oni cielętom dawali pełne mleko i bardzo pilnowali, żeby to mleko było świeże. Więc można było mleka napić się, można było w buteleczce mamie przynieść mleka. I cielęta były nadzwyczaj mądre: nie ma tak mądrych zwierząt. Nie mają racji ci, którzy mówią: głupi jak cielę. Gdy zawołałam: stawać w kolejce, one tak stawały.

Miejscowi Rosjanie raczej czekali na Niemców. Cieszyli się. Polacy bardziej. Ja to nawet bardzo. Wiedziałam, że to dla nas jakaś nadzieja.

Muszę powiedzieć, że to już wszystko zaciera mi się w pamięci. To przecież ogromna ilość lat. Ale nie dostałam ani za tajne naucza-

nie, a dawali order. Tylko, że wtedy nie można było o tym mówić.

W czasach ~~Kraja~~ <sup>Polski</sup> Ludowej raczej miałam kłopoty z tytułu pobytu na Syberii. Żadnych odznaczeń. To już pani Rutkowska mówiła: jak jest wizytacja inspektora przez ministerstwo, to wtedy do pani Wińczy. Ale odznaczenia - broń Boże - żadnego. Nawet Krzyża Zasługi - nic. O Syberii w ogóle mówić nie można było.

Mama z Syberii wróciła. Mama wróciła do Białegostoku i tu, w Białymstoku jest pochowana.

O ojcu nic nie wiadomo. Jak ojca aresztowali i tego pana Dowojnę razem wtedy, tego sąsiada, bo wtedy ziemian wyaresztowali, to oni potem byli w Berezwezu.

/mąż/ Tu chyba sprawa jest jasna, bo mojego ojca też aresztowali. Wywieźli go do Połocka, gdzie został skazany na trzy lata "pasienia" w Krasnojarskim Kraju. A część pozostała. I potem ich wywozili i postrzelali.

/Zofia/ W Berezwezu dużo rozstrzelali, bo tam była straszna mordownia. Tam wywiezieni siedzieli w Berezwezu w klasztorze, który fundował ojciec mojej prababki/mąż/.

/Zofia/ W tamtych naszych stronach był niedawno nasz znajomy. On jeździł na grób matki. Mówił, że tam jest biednie.

Do Białegostoku przyjechałam z Wrocławia w 1947-mym roku. Tam, na Wileńszczyźnie nic nie ma. Wszystkie dwory są popalone. Palili po kolei, na żywo. Robiła to sowiecka partyzantka. Ominęło tylko te miejscowości, w których stały większe garnizony niemieckie.

Po przyjeździe do Białegostoku przez jedenaście lat czekałam na mieszkanie. W jednej kuchni były trzy gospodynie i czwarty ksiądz.

Notował: S. Sianko.